

Henryk Nowogródzki

Impresje na temat adwokackiego ślubowania

Palestra 20/8-9(224-225), 82-85

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

pracy świadczonej w pełnym zakresie tylko dlatego, że wykonywana jest po przekroczeniu numeratywnej granicy wieku. Sądzić po prostu wypada, że nieznaczna, jeśli zgoła nie znikoma wręcz część tego rodzaju wypadków, uszła uwagi przy redagowaniu przepisu i że jako pewien wyjątek nie znalazła swego właściwego rozwiązania. Niemniej jednak jest to niewątpliwie pominięcie krzywdzące tych, których dotyczy, i to w kategoriach zarówno materialnych jak i moralnych.

Pewnego rodzaju zło się stało. Ale są możliwości jego naprawienia. Suponować można, że wystąpienie właściwych organów Zrzeszenia Prawników Polskich (czy innych ewentualnie „ciał” i przedstawicielstw) do właściwych organów o wprowadzenie odpowiedniej, uzupełniającej korektury art. 22 § 2 p.z.e. mogłoby doprowadzić do pozytywnego wyniku dla tych wszystkich, którzy w Polsce Ludowej pracowali lub pracują jeszcze nadal po przekroczeniu wskazanego w przepisie wieku co najmniej w wymiarze pełnego etatu (lub według równoważnego rozumienia). Dodać też trzeba, że również koszty postulowanej korektury byłyby — nawet w skali ogólnopaństwowej — stosunkowo bardzo nieznaczne, przy czym w tym szczególnym wypadku w pełni uzasadnione jeszcze faktem potrącania przez cały czas pracy od omawianych wynagrodzeń składek emerytalnej.

MIEDZY NAMI

HENRYK NOWOGRÓDZKI

Impresje na temat adwokackiego ślubowania

10 kwietnia br. w Warszawskiej Radzie Adwokackiej odbyła się uroczystość ślubowania najmłodszych adwokatów. W na nowo pięknie odrestaurowanym gmachu Rady ceremonia ta nabrała szczególnego wydźwięku. Gmach, któremu groziło runięcie stropów, podźwignięty niemal z gruzów, powrócił do nowego życia. Jednocześnie na progu nowego życia stanęli najmłodszy koledzy. Była to uroczystość potrójna, a właściwie poczwórna. Otwarcie lokalu naszej Rady — to uroczystości punkt pierwszy. Następnie — ślubowanie adwokackie, potem — ślubowanie nowych aplikantów adwokackich i w końcu — gratulacje dla trzech kolegów, którzy w tym samym sobotnim dniu zdali znakomicie egzamin adwokacki.

Naprawdę wielki i radosny dzień.

Dziekan Maciej Dubois wygłosił zwarte i rzeczowe przemówienie, przypominając wysiłki i trudy podjęte przy remoncie gmachu w Alejach Ujazdowskich, przypominał też historię tego domu, w którym przed wojną mieściła się Naczelna Rada Adwokacka, potem zaś mówił do młodych kolegów o drodze, na którą wstępują, o tym, czym jest adwokatura, czym jest i powinien być adwokat.

Odpowiedział i podziękował Krzysztof Piesiewicz, wygłaszając swe pierwsze adwokackie przemówienie, obleczony w togę, a więc już jako *vir togatus*. Mówił ze wzruszeniem o obranej drodze, na którą wiedzie powołanie, o świadomości, jak

trudna jest ta droga, na której więcej porażek niż zwycięstw. Podziękował Radzie, jej Dziekanowi, kierownikom szkolenia, patronom za ich opiekę nad młodymi, najmłodszymi kolegami, za życzliwość i trud włożony w przygotowanie do zawodu i przyrzekł, że ślubujący w tym dniu koledzy pójdą śladami najlepszych adwokackich tradycji.

Proszę mi pozwolić na chwilę dumy i zadumy.

Kolega Maciej Dubois był moim aplikantem, potem został moim przyjacielem i dziekanem. Kolega Krzysztof Piesiewicz był naszym — dziekana i moim — aplikantem. I też staje się naszym przyjacielem.

Tak splata się więź pokoleń, obręcz, która nas w adwokaturze otacza i której nigdy nie zechcemy zerwać.

Jestem szczęśliwy, że moja współpraca z młodymi zaowocowała tak pięknie — oczywiście dzięki nim, ich talentom, zdolnościom i zapałowi.

W podniosłych chwilach ślubowania myśli moje skierowały się ku przeszłości. To już cecha mojego wieku, że myśl wędruje ku wspomnieniom. A więc pamiętam...

To była także sobota, ale jakże odległa. Był 7 listopada 1934 r., kiedy składałem przed Radą Adwokacką w gmachu Sądu Apelacyjnego na pl. Krasieńskich adwokackie ślubowanie. Po raz pierwszy w todzie. Zdarł ją ze mnie po pięciu latach ludobójca-okupant.

Ale wtedy, 7 listopada 1934 r., był jeszcze dzień radości i nie można było przeczuć tego, co nastąpi później.

W ławach dla publiczności siedział mój Ojciec. Zamordowany w Oświęcimiu, ojciec Macieja Dubois, tej pięknej chwili nie dożył.

Ślubowanie 10 kwietnia 1976 r. Znów się obejrzałem i widziałem łzę w oku mecenasa Mariana Piesiewicza, ojca Krzysztofa. Mieliśmy zaszczyt patronować jego synowi, adwokackiemu dziecku.

Mówił starożytny retor, że nie chce wzruszać słuchaczy do łez. „Nic — głosił — nie wysycha tak szybko jak łzy”. Jakże się mylił!

Zanim zostałem adwokatem, były — tak jak i dzisiaj — lata uniwersyteckich studiów, aplikacja sądowa, egzamin sędziowski, aplikacja adwokacka i adwokacki egzamin. Na egzaminie sędziowskim miałem piekielnie trudny temat z piśmiennego. Dostałem do opracowania swego tematu akta sprawy dotyczącej sporu prowadzonego między miastem Warszawą a Państwem o konserwację przeseł wspierających most Kierbedzia nad Wisłą. A że nie byłem cywilistą — pisałem w siódmych potach. Na szczęście każdy wyrok był dobry, bo sprawa siedem razy (tyle, ile potów) przechodziła przez Sąd Najwyższy, który wciąż poprzednie wyroki uchylał. Więc mój egzaminacyjny wyrok do jednego z uchylonych pasował.

Ale jeszcze przedtem był egzamin na uniwersytecie. Po ostatnim zdaniem przedmocie wybiegłem uszczęśliwiony przez uniwersytecką bramę na Krakowskie Przedmieście i dopadłem telefonu, mieszczącego się naprzeciwko sklepu kapeluszniczego Mieszkowskiego. „Mamo, tu mówi magister praw...” Za kilka minut byłem w domu i matka moja wręczyła mi wizytówki: moje imię i nazwisko, a niżej: magister praw. — „Mamo, a gdybym nie zdał? — Nic nie szkodzi — nie psuj się”.

Mineły jeszcze trzy lata i złożyłem najtrudniejszy egzamin w życiu przed Warszawską Radą Adwokacką.

Zostałem adwokatem, a w domu zastałem pełną poczekalnię. Tę funkcję pełnił mały korytarzyk. Oho! Już są! Już się zwiedzieli, że warszawskiej palestrze przybyła nowa znakomitość. Stanąłem więc w progu i wzruszony, po raz pierwszy zapytałem: „Kto z państwa pierwszy?” Z krzesła podniósł się młody człowiek i już na progu złożył mi gratulacje, po czym zaczął rozpakowywać wielką paczkę.

Były w niej wizytówki z tytułem adwokackim, papier, obwoluty z moim nazwiskiem i — oczywiście z nowym tytułem koperty.

Znowu powtórzyłem pytanie: „Panie, a co by było, gdybym nie zdał?”

— To nic, proszę szanownego pana mecenasa, to nic, towar, można powiedzieć, nie psujący się, a my zbieramy informacje. Zdałby pan w następnym terminie. Nasza firma przewiduje (...)”.

Takie były wówczas, przed laty przeszło czterdziestu, usługi dla ludności.

Co miałem robić? Zapłaciłem za bilety wizytowe, obwoluty, koperty itd.

Młody człowiek życzył mi szczęścia na nowej drodze życia.

„Proszę, kto z państwa następny?”

Następny był to pewien starszy pan, który bez słowa położył na moim biurku szyldzik do przybicia na bramie i tabliczkę na drzwi, oczywiście z moim imieniem, nazwiskiem i tytułem. Wyjął śrubokręcik i zapytał: „W którym miejscu przymocować?”

— Panie, ale skąd pan wiedział, że to akurat dziś?

— My, szanowny panie mecenasie, interesujemy się. Zbieramy informacje. Mamy swoje dane.

Znów zapłaciłem i ze złudną nadzieją, że ten trzeci oczekujący będzie teraz mnie płacić, poprosiłem go do gabinetu. Nadzieja pierzchnęła natychmiast, bo oto mój klient wyjął centymetr i zaczął brać miarę na togę.

— Będzie gotowa za trzy dni. Akurat na ślubowanie. To nie będzie wydatek, panie mecenasie — uspokajał mnie krawiec. — Togę zamówił pana patron. Elegancki człowiek. Kazał szyć z najlepszego materiału.

Dziś Rada Adwokacka funduje togi „piątkowiczom”.

Tak zakończyły się przyjęcia w pierwszym dniu mojej adwokackiej kariery.

Minęło kilka miesięcy, potem kilka lat...

Wróciłem właśnie z sądu i oto w moim korytarzyku pełna poczekania. Stałem w progu gabinetu i rzuciłem, jak gdyby niedbale: „Proszę, kto z państwa pierwszy?”

— Wszedł wysoki, tęgi mężczyzna. Przedstawił się. Był to znany w ówczesnej Warszawie bookmacher wyścigowy i organizator potajemnej ruletki.

— Tak, panie mecenasie, jeden z moich wspólników ma sprawę. No, wpadł z tą ruletką. Cóż, ryzyko zawodowe. Chciałem, żeby się pan podjął obrony.

Byłem zaszczycony.

— Tylko, że sprawa za tydzień — dodał klient — a ja honorarium mogę zapłacić za dwa. Niech pan się nie waha. Pieniądze jak w banku.

Przyjąłem sprawę. Ruleciarz jakoś się wybronił z niewielkim bólem. W terminie zjawił się mój zleceniodawca i wszystko co do grosza zapłacił. Miał swój bookmacherski honor.

„Proszę, kto z państwa następny?”

Przy moim biurku rozsiadł się zażywny, starszy już jegomość. Miał niebieskie oczy i długą, siwą brodę.

— Jestem Abraham Zalcman — przedstawił się.

— Słucham, czym mogę służyć?

— Jestem Zalcman — powtórzył z naciskiem i gdy się zorientował, że dźwięk tego nazwiska jakoś na mnie nie działa, dodał: — Jestem najstarszy lichwiarz ze Skierniewic.

— Tak, proszę pana...

— Mam więc sprawę o dubeltowe żądanie i chciałem pana mecenasa spróbować.

Nadmierne procenty nazywano wtedy dubeltowym żądaniem, a że on chce mnie spróbować — no cóż, taki mój fach.

— Pan mecenas, młody człowiek, ale Zalcman chce spróbować. Ile będzie pana honorarium?

Wymieniłem jakąś niewygórowaną kwotę.

— Dobrze, nie będę się targować, tylko chciałbym za przeproszeniem pana mecenasa, żeby pan trochę teraz „pomówił”.

Pan Zalcman nie chciał kupować kota w worku. Dziś taka propozycja nazywa się elegancko: „Czy można wiedzieć, jaka będzie koncepcja obrony?”.

Ha, „pomówiłem” więc przed panem Zalcmanem i uzyskałem jego akceptację i pieniądze.

Zapadał wieczór, gdy wychodziłem z gabinetu, aby zaprosić następnego klienta. Chciałem już wypowiedzieć swoje stereotypowe: „Kto z państwa następny”. gdy oto podwarszawski chłop Roch Zabęda położył palec na ustach, nakazując ciszę.

W korytarzu zamienionym na poczekalnię stał kupiec korzenny i rozsiewając zapach wanilii i cynamonu, zwrócony ku wschodowi, modlił się. Była to godzina wieczornej modlitwy.

Woń wanilii mieszała się z ostrym zapachem kozucha pana Rocha, który na palcach, skrzypiąc przy tym niemiłosiernie ciężkimi, podkutymi buciorami i ciągle dając znak nakazujący ciszę, wchodził do gabinetu, starając się o to, by nie przeszkodzić w modlitwie.

Było późno, gdy skończyłem przyjęcia. Byłem zadowolony i pełen optymizmu.

Zadzwoiłem do młodej (też przecież byłem młody) lekarki, do której wzdychałem (wtedy się wzdychało, teraz się uderza i podrywa):

— Czy pani doktor przyjmuje?

— Jak ma kogo — to przyjmuje.

— A ja właśnie mam. Zaraz przyjdę.

*

No, dość wspomnień, bo nie zdołam nigdy dokończyć. Zwróćmy się do dnia dzisiejszego. Sćieśnimy biurka w Zespole, posuniemy się krzynkę i usadzimy młodych kolegów.

Na dobre.

RECENZJE

Lechosław Stępniaak: *Potrącenie w systemie polskiego prawa cywilnego, Ossoli-neum, PAN—Instytut Nauk Prawnych, 1975, s. 265.*

Recenzowana praca stanowi cenne studium instytucji potrącenia w systemie polskiego prawa cywilnego. Jest to pierwsze opracowanie monograficzne dotyczące kompensaty ustawowej. Skomplikowany temat został ujęty w sposób całkowicie wyczerpujący i jednocześnie wielostronny. Autor przed-

stawił w pracy różnorodne zagadnienia związane z potrąceniem. Należy podkreślić, iż opracowaniem swym objął nawet problematykę kompensaty w stosunkach między jednostkami gospodarki uspołecznionej oraz ogromnie dyskusyjną kwestię potrącenia w procesie cywilnym. Tej pierwszej poświę-